Nr. 24. We Lwowie dnia 11. czerwca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Anima Lachrymans.*)

W dziedzinie twórczości coraz to trudniej o prawdziwą oryginalność. W tylowiekowym rozwoju poezji tak dużo było pomysłów i taka rozmaitość, tak dużo i tak rozmaitych użyto form, że dzisiejszy artysta słowa może zaledwie pokłosie zbierać po wielkiem żniwie. Jemu niepodobna już śpiewać, jak ptak śpiewa — wedle wyrażenia Goethego — tj. z natchnienia tylko i bez specjalnej nauki, gdyż wchłonąć on musi wszystko, co było wielkiem i pięknem przed nim, ażeby nie powtarzać mniej dobrze tego, co już poprzednio o wiele doskonalej wypowiedziano.

Stąd to wypływa to wielkie staranie o kunsztowną formę, jakie widzimy w całej nowszej poezji europejskiej; stąd gonitwa za nadzwyczajnymi i mało używanymi dotychczas kształtami, stąd wreszcie owo hasło, ładnie jako frazes brzmiące, ale beztreściowe, iż dążyć należy w poezji do zrzucenia supremacji myśli nad słowem, hasło, które i u nas znalazło odgłos.

Prawdziwy atoli poeta za dążeniem takiem nie pójdzie. On wie, że układ dźwięków, choćby najharmonijniejszy, nie wytworzy poezji, jeżeli w tych dźwiękach nie będzie zaklęta rozumna myśl, wzniosłe czy rzewne uczucie, szlachetne pragnienia i ideały.

Niewątpliwie trudno jest o treść nową, bo już sam wiek XIX. u różnych narodów europejskich z tak rozmaitych stanowisk rozpatrywał stosunki, uczucia, dążenia człowieka jako jednostki i jako ogółu, że w odcieniach jedynie drobnych można jeszcze znaleźć temata niewyzyskane.

Jan Kasprowicz już przy pojawieniu się pierwszego zbiorku swoich poezji (r. 1889) miał sobie przez T. T. Jeża przyznaną »fizjonomję odrębną« wśród poetów naszych spółczesnych, odrębną mianowicie pod względem treści, gdyż w niej odczuł twórca »Wasyla Hołuba« oddźwięk tych tęsknot, bolów i skarg«, »jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli«.

Spostrzeżenie Jeża było trafne; musi być tylko bliżej określonem. Tęsknot, bolów i skarg w poezji naszej wieku XIX. nie brakło: owszem jak z konieczności położenia narodowego wynikało, było ich w niej pełno. Co więcej, nawet ta specjalna sfera cierpień, jaka się w losie ludu uwydatniła, miała także w poezji przedstawicieli swoich, choćby jeno Goszczyńskiego i Barwińskiego przypomnieć. Ale ci poeci dla przedstawienia niedoli ludowej albo brali wyjątkowe postaci i wypadki, albo też, dla propagandy idei demokratycznej, wystawiali lud jedynie jako niewinną ofiarę gwałtów, nadużyć czy wogóle bezprawia. Inni zaś, jak Bohdan Zaleski i Lenartowicz, wybierali same sympatyczne rysy z charakterystyki ludu, chcąc za ich pomocą zjednać serca inteligencji, przejąć je spółczuciem dla smutków i nieszczęść, a uwielbieniem dla dobroci i poświęcenia, odwagi i bohaterstwa wśród mas ludowych.

Jednem słowem, dawniejsi poeci, z wyjątkiem Goszczyńskiego, malowali lud idealistycznie; a ci, co w naszych już czasach ten sam temat wzięli do obrobienia (Asnyk, Konopnicka i inni) poszli w ich ślady. Kasprowicz dopiero odrzucił wszelką sentymentalną czy humorystyczną idealizację i zaczął traktować lud realistycznie w swych poezjach, jak Jeż, Sienkiewicz, Sewer, Prus, Dygasiński w swych powieściach i nowellach.

Kocha on lud całem sercem, »świętym« go nawet nazywa, ale znając wybornie zarówno

*) Anima Lachrymans i inne nowe poezje Jana Kasprowicza. — Lwów, Jakubowski i Zadurowicz. 1894, str. 189.

zewnętrzną stronę jego bytu jak i jego duszę, nie myśli go bynajmniej wyodrębniać pod względem moralnym od reszty ludności, lecz owszem uwydatnia, że w nim takie same są uczucia i takie same obłędy, takie same pożądania i namiętności, takie same rysy usposobienia i charakteru, jak i w innych klasach narodu, tylko się w odmiennych przejawiają formach z powodu odmiennego stopnia kultury.

Cienie gęściej są nawet narzucone w jego utworach, aniżeli jasne smugi. Czy weźmiemy pierwszy zbiorek poezji pod uwagę, czy ostatni, czy też dramat »Świat się kończy«, wszędzie spotkamy się ze złośliwością, z chciwością, rozpustą, okrucieństwem, a nawet zbrodnią, czasami w kilku naraz przedstawicielach, gdy postaci i uczucia dodatnie w drobnych zaledwie występują rolach. Przypomnijmy sobie tylko najogólniejszą treść opowiadań zawartych w »Anima Lachrymans«. »Król Lear z Biedaczewa« — to obraz twardego serca i zupełnego wyzucia się z uczuć rodzinnych. »Maciej Kosarczyk« — to przykład bezlitośnego postąpienia ojca względem córki, która zbłądziła (co przypomina jeden z motywów dramatu: »Świat się kończy«), »Marcin Szafran« — to znów przykry okaz pijaka, który z powodu swej brzydoty stał się przedmiotem szyderstw ze strony dziewcząt wiejskich, w »Hance Olpińskiej« obok matki poświęcającej się dla lepszej przyszłości syna, mamy wizerunek pijaka ojca i idącego za nim z biedy potomka.

Nie myślę bynajmniej pochwalać wyboru takich tylko tematów, nie jestem bowiem zwolennikiem pessymistycznego przekonania, że więcej na świecie wątrób niż serc; nie uważam też owych opowiadań za rzeczy prawdziwie piękne; zastanowiłem się nad niemi dlatego głównie, ażeby charakterystykę sposobu patrzenia na życie ludu u Kasprowicza wydobyć i zarazem zaznaczyć, że jest to niewątpliwym dowodem wzmożenia się idei demokratycznej u nas, gdy jeden z przedstawicieli kierunku ludowego, człowiek lud prawdziwie kochający, nie wahał się uwydatniać stron ciemnych w charakterze tego ludu. Znaczy to bowiem, że lud ten kochamy wraz z jego wadami, tak samo jak kochamy wogóle naród, chociaż różnym jego klasom wiele mamy do zarzucenia.

I to jeszcze przytem zauważyć warto, że o istnienie tych ciemnych stron w życiu ludu poeta nie obwinia innych warstw społeczeństwa, jak to było we zwyczaju bardzo długo. Nie pochlebia on tym warstwom, wytyka im zdrożności, ale za każdą wadę, za każdą zbrodnię chłopa nie stawia pod pręgierzem jakiegoś surdutowca. Owszem, wspominając o czasach nawet dawniejszych, o czasach pańszczyźnianych, nie bał się nakreślić sylwetki »Jana Rudawskiego«, który, choć szlachcic, był rzeczywistym bratem wieśniaka i miłość sobie jego pozyskał.

Jest więc Kasprowicz śpiewakiem głównie niedoli ludu, wyczekującym świtu nowej doby w losach ludzkości i narodu, ale nie wnoszącym fermentu nienawiści względem warstw innych, gdyż pewnym jest, że przyszłość bądźcobądź do ludu należeć będzie. Najpiękniejszymi utworami, w których niedola owa wzruszyć musi każdego, mającego uczucie ludzkie, są: »Rumianek« (śmierć chłopskiego dziecka) i »Na rozdrożu« (poniewierana dziewczyna wiejska). I forma tych lirycznych obrazków jest pełna świeżości i oryginalności.

Wskazawszy to, co w poezjach Kasprowicza uważam za część najbardziej znamienną i oryginalną, przejdę już krótko te utwory, w których poeta podąża wraz z innymi współczesnymi po szlakach już utartych.

I tu również najwydatniej dźwięczy wyraz bólu i cierpienia, usymbolizowany w samym tytule najnowszego zbiorku poezji Kasprowicza: »Dusza płacząca«. Boleje piewca nad marnością wysiłków, nad słabością woli, nad ciężkimi warunkami bytu. Czasami pojawi się odbłysk Baudelairowskiej ironji gorzkiej i piekącej, jak np. gdy mówi o losie literata na bruku lwowskim (»Batjar»), albo o palącej jak zgaga miłości ulicznej (»Venus vulgivaga«). Nie popada jednakże poeta ani w sceptycyzm, ani w krańcowy pessymizm. Wyznaje on bowiem tę krzepiącą zasadę, że »jak ruda w ogniu znajduje potęgę oczyszczającą, tak człowiek w boleści«, każe nawet tej boleści błogosławić i nie otwierać wnętrza dla rozpaczy, osłabiającej ducha. Nadzieja lepszych dni podtrzymuje w nim siłę wytrwania, a zapał wieku młodzieńczego, nie stłumiony widokiem bezprawia i nikczemności ludzkiej, nie ostudzony wyziębieniem serc, każe mu wierzyć, że »promień życiodajnej wiosny lśni się dokoła«, a »śmierci zuchwała potęga«, co »niszczy bytu szlachetne zarody«, złamaną została, albo też złamaną być może, jeśli tylko męstwo i dzielność dawna wrócą do dusz, które chciano do służalstwa nagiąć. Cały cykl poezji, objętych ogólnym napisem: »Z areny publicznej« tętni otuchą »majowego świtu« i budzi ospałych, rozleniwionych do życia w duchu narodowym.

Wobec tak silnego przejawu pełni zdrowia wewnętrznego, muszą być uważane za przemijające tylko zboczenia z wytkniętej drogi, za chwilowy nastrój jedynie, te pessymistyczno-panteistyczne westchnienia do »słodkiej zwiastunki« spokoju i ciszy — do śmierci, jakie najwymowniej znajdujemy wypowiedziane w symbolicznym utworze p. t. »Marjan Olchowicz«. Być może, ból jakiś doraźny, rozjątrzony rozmyślnem weń wpatrywaniem się i zasilany lekturą dawniejszych i spółczesnych pessymistów, wylał się w tym utworze, pełnym uniesienia i fantazji; lecz niewątpliwie nastąpiło potem ukojenie, z którego wypłynęły poezje, tchnące otuchą i zachę-

cające do życia, nie do śmierci. A chociaż »Marjan Olchowicz« kończy zbiorek poezji, nie jest przecież ich ostateczną pieczęcią; dostał się on na to miejsce albo przypadkowo, albo też dla zharmonizowania wspólnego tytułu (»dusza płacząca«), odnoszącego się właściwie do jednego tylko działu, z całością książki.

Tak sobie wyjaśniamy ten okrzyk cierpienia i to pragnienie bezwzględnej ciszy; a że to nie jest dowolnością z naszej strony, o tem świadczą utwory »Z areny publicznej«, jak nie mniej piękny poemacik, z biblji zaczerpnięty, a do naszych stosunków narodowych przystosowany »Ezechiel«. I dlatego widzimy w Kasprowiczu jednego z tych poetów młodszego pokolenia, którzy otrząsając się z wpływów Byrona, Musseta, Heinego, Baudelaire'a (zestawiam te nazwiska obok siebie dla zwięzłości tylko) zdrowie uczucia i zdrowie myśli przenoszą nad patologiczne objawy wyczerpanego organizmu, którzy swoje cierpienia jednostkowe podporządkowując cierpieniom mas, szukają dla nich ulgi nie w negacji życia i przyszłości, lecz w stwierdzeniu nadziei, że, mimo wszystko, lepiej być może.

Piotr Chmielowski.

ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach*).

Napisała

Helena Ceysinger.

—⁂—

OSOBY:

WOJEWODA.
ZOFJA, córka wojewody.
ANDRZEJ, syn wojewody.
BISKUP.
MIŁOSZ }
FEDOR } wodzowie dalmaccy.
TOMASZ }
ANTONIO, syn Miłosza.
DOŻA Wenecji.
LEONARDO GRIMANI }
MARCO LOREDANO } senatorowie weneccy.
GIORGIO MONEGARIO }
MOROSINI, dowódzca wojsk weneckich.
BIANCA MONCENIGO, siostrzenica doży.
SAWA, stary lirnik.
CLARIBEL, cyganka.
PERINI, dowódzca straży więziennej.
MURZYN.
Lud, żołnierze weneccy i dalmaccy, straż.

AKT I.

Scena przedstawia obmurowane terrasy, pokryte zielonością, zniżające się stopniowo i dochodzące aż do morza. Od południa błękitnieją pasma gór, od zachodu fale Adrjatyku, na lewo drzwi prowadzące do wnętrza domu. W koło ogród, drzewa i kwiaty. Zmierzch.

*) Nagrodzony na konkursie krakowskim im. Wołodkiewicza.

SCENA I. Zofja wsparta o balustradę krużganka.

ZOFJA. Jakiż cichy, słodki ten wieczór! Co za woń przynosi wietrzyk od morza! (zamyśla się). Boże, dzięki Ci za wieczór taki. Gdy patrzę na tę gwiazdkę tam w górze, dziwne uczucie przejmuje mnie całą. Chciałabym mieć skrzydła, by lecieć gdzieś w nieskończoność. Pragnienie to rozsadza pierś moją. Chciałabym unosić się nad temi sinemi górami, chciałabym całować tę gwiazdkę wieczorną, i kwiaty wszystkie i świat cały przycisnąć do serca, a potem... potem chyba w fali niebieskiej morza się zanurzyć... i zniknąć na wieki!... (po chwili milczenia). Co za dziwne uniesienie mnie opanowało? Zapominam, że nie mam już moich piętnastu lat, kiedym to dzień cały wśród skał, nad potokami przemarzyć mogła swobodnie. Minęły te czasy. W powietrzu cisza wprawdzie, ale ja wiem, że burza nadchodzi. Niedługo już rozszaleje się orkan nad twemi górami, Dalmacjo! (zamyśla się). Kwiaty moje, nim zwiędniecie, krew was może obryzga... Nie napróżno ojciec mój od miesięcy kilku śle posły na wszystkie strony świata, nienapróżno zbroi górali, długie co noc narady wiedzie z Miłoszem, a wciąż groźnem okiem w stronę Wenecji spogląda. Przeklęte miasto! Ileż to lat już piękne Dalmacji wybrzeża ohydną stopą uciska! Godzina walki się zbliża. Boże błogosław nam!

(Wchodzą wojewoda, Fedor, Tomasz.)

SCENA II. Wojewoda, Fedor, Tomasz.

WOJEWODA (do Zofji). Czy Andrzej powrócił?

ZOFJA. Jeszcze nie, ojcze! (odwraca się, chcąc wyjść).

WOJEWODA. Zostań Zofjo. Mam i dla ciebie zlecenie. Co mi powiesz Fedorze, co słychać w Podgorycy?...

FEDOR (z niskim ukłonem). Miłosz przysła mnie panie z wiadomością, że niepodobna mu już dłużej utrzymać górali w spokoju. Rwą się do walki, chcą powstania natychmiast.

WOJEWODA. Hamować Fedorze! Czyż Miłosz nie ma dość powagi między nimi?

FEDOR. Zapał dziki ogarnął ich, nie zważają już na nic. Kobiety, dzieci złorzeczą nam za zwłokę i obrzucają obelgami, grożąc że same chwycą za broń.

WOJEWODA. A mężczyźni?

FEDOR. Mimo karności, w jakiej ich utrzymuje Miłosz, zaczynają burzyć się. Powstają pogłoski, że Miłosz wbrew twojej woli zatrzymuje ich w górach.

WOJEWODA. Hamować, ale nie tłumić tego ognia, Fedorze! Tę szablę oddasz Miłoszowi. Będzie to dla nich znakiem, że jego wola jest moją. Nadto ogłosicie im, że hasłem do boju jest ogień czerwony z wierzchołka białej góry. Niech go czekają. Rozumiesz?

FEDOR. Tak, panie.

WOJEWODA. Słuchaj jeszcze. Oczekuję dziś syna mego z Wenecji. Wiezie mi listy od Nuncjusza i od agentów genueńskich. Po przyjeździe natychmiast wyprawię go do Podgorycy. Powiedzże Miłoszowi, że jeśli w liście Nuncjusza znajdzie pomyślne wiadomości o zdrowiu Ojca świętego, niech od dziś za trzy dni zapali ogień czerwony na białej górze. Jeżeli przeciwnie wiadomości będą złe, niech wszelkiemi siłami stara się utrzymać górali w posłuszeństwie i spokoju, a Andrzeja niech natychmiast z powrotem do Wenecji wyprawi. Powtórzysz dosłownie.

FEDOR. Tak panie. (wychodzi).

WOJEWODA. Zofjo, każ aby koń był gotów. Andrzej prosto z barki niech siada na koń i jedzie do Podgorycy. To mój rozkaz dla niego.

ZOFJA. Dobrze, ojcze.

WOJEWODA. A teraz ty, Tomaszu, mów prędko. Czasu mi brak. Zapowiedziano mi gościa, na którego spotkanie wyjechać muszę. Twoi korsarze?

TOMASZ. Jak przykazałeś, panie, ukryci między skałami od dwóch tygodni nie puszczają się na pełne morze.

WOJEWODA. Spokojni?

TOMASZ. Spokojni, panie. Wczoraj kazałem powiesić dwóch, którym się przymusowy wypoczynek uprzykrzył.

WOJEWODA. Pilnujcie brzegów, pamiętaj. Za dwa dni dostaniesz świeże rozkazy (wychodzą).

SCENA III. Zofja, Cyganka.

ZOFJA (sama). Czerwony ogień na białej górze... Straszno mi czegoś. Ach, czemu Andrzej nie wraca?!

(Po stopniach terrasu wchodzi Cyganka fantastycznie ubrana. Na jej widok Zofja cofa się mimowoli).

CYGANKA. Nie bój się piękna, gołąbko. Ach, oczy twoje jak dwa turkusy, a włosy jak promień słoneczny!

ZOFJA. Kto ty jesteś?

CYGANKA. Kto ja jestem, kto ja jestem? Duchy wiedzą, ja nie wiem. Ludzie mnie Claribel przezwali.

ZOFJA. Czegoż ty chcesz?

CYGANKA. Powróżyć tobie. Daj rękę, kwiatku, daj rękę, promieniu!

ZOFJA. Nie chcę, to grzech.

CYGANKA. Nie grzech, nie grzech posłuchać, co mi duchy szepcą do ucha. (Wpatruje się w nią bacznie). Ty czekasz na kogoś. (Zofja mimowolne okazuje zdziwienie). Dziwne! Ani ty na kochanka, ani na narzeczonego tak czekasz. Ty czekasz na brata. A powiedzieć tobie, gdzie on i dla czego nie wraca? (Zofja daje głową znak przyzwolenia).

CYGANKA (kreśląc linją na piasku jakieś linje). Ho, ho, nie łatwo jemu powrócić do ciebie.

ZOFJA. Czemu?

CYGANKA. Czarne oczy, piękne, a straszne przykuły go.

ZOFJA. Co to znaczy, nie rozumiem.

CYGANKA. Oj, patrzy on w te oczy, patrzy... a to patrzenie milsze mu nad ciebie, nad ojca i matkę, nad Boga, nad życie...

ZOFJA. Kłamiesz, Cyganko. On nie ma matki.

CYGANKA. Tak duchy powiedziały. Ja nie winna. Milsza mu nad matkę, milsza mu nad matkę!

ZOFJA (wzdryga się).

CYGANKA. Daj rękę, ja tobie więcej powiem. (Zofja wyciąga rękę. Cyganka patrzy w nią przez chwilę, później chwyta się za głowę z rozpaczą). Staram ja! Tumany lat przepłynęły nad moją głową, a tegom ja nie widziała. Twoja ręka biała, a ocieka krwią...

ZOFJA (wyrywając rękę). Co ty pleciesz, czarownico?!

CYGANKA. Daj rękę, nie wyczytałam wszystkiego (bierze znów rękę Zofji). A wiesz ty, czyją ty krew wylejesz? Twojego brata i twoją!

ZOFJA (cofa się przerażona).

CYGANKA (prędko). Za trzy dni o tej samej godzinie przyjdź na brzeg morza, a powiem ci, co to za czarne oczy urok na niego rzuciły i co trzeba robić, żeby czar odegnać. Moc moja wielka. Wierz! Inaczej krew ty brata twojego wylejesz. Pamiętaj, przyjdź! (Oddala się szybko i znika).

ZOFJA (długo ściga ją oczami, potem pociera czoło, budząc się z zamyślenia). Odeszła... Czuję jakiś zawrót w głowie, nie wiem, co dzieje się ze mną (klęka). Ach, daruj mi Boże, żem się sztukom tej czarownicy, czy opętanej opanować dała! (żegna się). Już mi lżej. Spokojna jestem, prawie śmiać mi się chce z siebie. Jakże mnie przestraszyć zdołała! Boże, bądź miłościw! Niech będzie pochwalone imię twoje! (Wstaje i spogląda na morze). Ach, czemuż tak długo nie widać Andrzeja?! Miał wrócić rano, a już noc zapada. Ach, czarny punkt jakiś widzę, może to łódka jego (wpatruje się pilnie). Tak, to on. Przybywaj łódko, przybywaj...

(Łódź przybija do brzegu, Andrzej wyskakuje na ląd i po stopniach wchodzi na ganek).

C. d. n.

Wyradzanie się ludu i — mięczaki galicyjskie.

Pod tytułem: »Muszle stawowe i rzeczne jako pokarm ludowy« podaje dr. Ferdynand Wilkosz w 9. okólniku gal kraj. Tow. Rybackiego rzecz następującą:

»Sprawa podniesienia dobrobytu naszego ludu i zastosowania środków zaradczych nie schodzi dzisiaj z porządku dziennego, a mimo to nie-

stety, pewnikiem staje się fakt, że lud nasz coraz gorzej się żywi, cierpi niedostatek pożywienia i popada w chroniczną nędzę. Na podstawie wykazów statystycznych widzimy, że liczba popisowych do służby wojskowej niezdatnych zwiększa się corocznie we wszystkich państwach, i że jedną z ważniejszych przyczyn tego zjawiska jest niedostateczne żywienie i coraz gorsze odżywianie się ludu. Lud nasz — szczególnie zaś wieśniacy w niektórych okolicach kraju — wcale nie używają mięsa z powodu wysokiej jego ceny, co pod każdym względem szkodliwie oddziaływać musi. Niedostateczne żywienie sprowadza osłabienie organizmu i zwyrodnienie osobnika, który przez to staje się na zawsze niezdolnym do wytworzenia zdrowego i dzielnego potomstwa. Wobec tego narzuca się pytanie, jaki jest sposób zaradzenia niedostatkowi, i jak pomnożyć środki pożywienia ludowego, aby lud uchronić od zwyrodnienia i skarłowacenia?

Kraj nasz ma jeszcze nadzwyczaj wiele źródeł dochodu i zasobów dotąd niewyczerpanych, zdolnych do podniesienia dobrobytu jednostek i całego narodu. Na całej przestrzeni kraju znajduje się w ogromnej ilości środek pożywienia zdolny wyżywić krocie ludzi bez żadnego zachodu i nakładu, jest nim mało znane i nienależycie ocenione niepozorne zwierzątko: *muszla stawowa, względnie muszla rzeczna. Muszla* (małża) *stawowa* zwana szczeżują (anonda) i *rzeczna* zwana skojką (unio) są gatunkiem należącym do rodziny muszli rzecznych i żyją u nas wszędzie w stawach, jeziorach i rzekach, a w większych wodach, jak n. p. w stawie Brzeżańskim, liczyć można szczeżuje na miljony, gdzie dorasta 14 cm. długości, a 21 cm. objętości i waży nieraz kilogram. Skorupy mają podłużne o powierzchni gładkiej, barwy szarawo-zielonej; rozmnażają się niesłychanie, gdyż jedno zwierzątko może wydać do 40.000 młodych. Oba gatunki żywią się żyjątkami wodnemi niższego rzędu; celem oddechania, żerowania i poruszania się otwierają skorupy, wysuwają z nich stopę toporowatą barwy żółtawej i pełzają tym sposobem po namule. Woda przepływająca ciągle od przodu ku tyłowi przez skorupę zawiera małe żyjątka i te służą na pożywienie małżom. Mimo silnej skorupy czucie mają znaczne, dotknięte bowiem choćby lekko we wodzie zaraz się zamykają i przewracają. Muszla składa się z istoty mięsnej, występującej najobficiej w nodze i dlatego pożywność jej równa się pożywności mięsa, a używanie jej za pokarm nie jest obcem ludowi naszemu, jak to wykazują następujące dane:

Znany badacz fauny mięczaków galicyjskich ś. p. Józef Bąkowski pisze w jednej z swych prac pod tytułem: Mięczaki galicyjskie. Lwów, 1885, Kosmos: »Na Podolu żywi się lud ubogi w czasie przednowku powszechnie temi zwierzątkami t. j. skojkami i szczeżujami, które nazywa skalkami, zaś puste skorupy czerepachami, co zauważyłem także w innych jeszcze okolicach n. p. koło Szkła i Jaworowa«.

Prof. Dr. Antoni Wierzejski widział w czasie głodu na wiosnę 1862 r. nad Zbruczem stosy pustych skorup tych zwierząt (małży, a nadto co kilkaset kroków ludzi wyławiających małże i wydobywających ze skorup zwierzęta do garnków. Zapytani, w jaki sposób przyrządzają z tych zwierząt pokarm, odpowiadali, że gotują z nich juszkę (zupę), którą zasypują krupami lub zaprawiają mąką. Oprócz na pokarm używa lud tamtejszy tak rzecznej, jak i stawowej muszli na lek przeciw puchlinie.

Prof. Jan Warchoł, który obserwował życie muszli w stawie Brzeżańskim podaje iż tamtejsi ubożsi mieszkańcy zbierają muszle zwane tam czerepachami, otwierają skorupy tępym nożem, wyjmują zwierzątka i karmią niemi kaczki i nierogaciznę. Na wiosnę zaś, a czasem w marcu i kwietniu zbierają także muszle, a oczyściwszy je gotują i jedzą.

P. Zygmunt Fiszer podaje, że prawie we wszystkich wsiach nad Seretem ludzie wiejscy jedzą małże zwane tam »szkarałupy«, szczególnie na wiosnę, gdyż wtenczas są najsmaczniejsze, zwłaszcza pochodzące z miejsc piaszczystych i żwirowatych. Złowione małże otwierają kozikiem, wycinają z nich »co czarne« t. j. wnętrzności i wątrobę, resztę zaś, przeważnie nogę, gotują z zakryszką, a więc pietruszką i wiele cebuli, majętniejsi zaś dodają pieprzu. Powstaje z tego gęsta zupa w smaku nieco do żółwiej podobna, niepozorna z wejrzenia, jednak smaczna. Zupę tę zowią »juszka«.

P. Sołtysik wreszcie sprawdził, że w Olszanicy pod Jaworowem wieśniacy małże wyjęte ze skorup gotują w wodzie bez soli, a po kilkakrotnem zawrzeniu wody, wyjmują i smażą w maśle lub w oleju lnianym.

Prócz tego słyszałem z ust osób wiarogodnych z różnych stron kraju, a szczególnie wschodniej jego części, że ludność wiejska bardzo często używa muszli na pokarm zwłaszcza w czasach niedostatku i głodu.

Przytoczone dane pouczają, że użycie muszli na pokarm pomiędzy ludem naszym szczególnie w czasach niedostatku dosyć jest rozpowszechnionem, i że przesąd i polegająca na nim odraza do tego środka pożywienia już są przełamane, a dlatego sądzę, że potrzeba tylko szczerej zachęty słowem i czynem, aby użycie muszli na zwyczajny pokarm stało się powszechnem w całym kraju. Że to jest możliwem, poucza historja i przykłady innych krajów. Ile czasu potrzeba było, zanim ludzie przezwyciężyli odrazę i poczęli używać na pokarm ryb, raków, ostryg i innych mięczaków — dziś jednak używanie tych przedmiotów jest tak dalece rozpowszechnionem, że mieszkańcy nadmorscy żywią się niekiedy wyłącznie mięczakami i spożywają je nad-

zwyczaj chętnie. Przy zakładaniu nowego portu w Tryeście widziałem sam, jak majtkowie z chciwością spożywali wszelkie muszle uczepione na głazach z morza wydobywanych — wszelkie mięczaki nazywają tam plonami morza »frutti di mare« i ze smakiem zjadają. Omólek jadalny (mytilus edulis), którego hodowlę zaprowadził rząd francuski na wybrzeżach Francji w czasach niedostatku i głodu stał się dzisiaj w całej Francji środkiem pożywienia, a poniekąd przysmakiem. Mieszkańcy gór Altajskich do początku tego wieku brzydzili się ziemniakami i uważali je za djable jajka, dziś zaś z gustem je pożywają. Dlatego z wszelką pewnością można mieć nadzieję, że muszle stawowe i rzeczne stać się mogą i staną się u nas zwyczajnym pokarmem, a ludowi przybędzie przez to mięsny środek pożywienia nic nie kosztujący, a dający się wszędzie dowolnie rozmnożyć, w każdym razie więcej pożywny, niżeli kapusta i ziemniaki, któremi się lud nieraz wyłącznie żywi.

Powodowany chęcią przysłużenia się dobru ogólnemu, zanoszę przeto prośbę do Szanownych Członków krajowego Towarzystwa rybackiego, do Delegatów tegoż Towarzystwa i do wszystkich obywateli, których obchodzi pomyślność ludu, aby zachęcali lud i włościan do używania muszli stawowych i rzecznych na pokarm i wpajali w nich przekonanie o nieszkodliwości, tudzież wielkiej pożywności tych zwierzątek. Rozwinięcie usilnych starań w tym kierunku odniesie pożądany skutek, co przyczyni się do podniesienia pomyślności ludu naszego,

Sposoby przyrządzania podałem powyżej, najlepszym zaś jest sposób następujący. Wyłuszczone ze skorup zwierzątka wrzucać, nie wykrawając żadnych części do garnka, i dobrze ugotować z dodaniem soli, jarzyn (pietruszki, cebuli, selerów), pieprzu lub kminku i kaszy lub krupek jęczmiennych. Zupa w ten sposób przyrządzona będzie smaczną i lekko strawną«.

Mimo, że szanowny Dr. Wilkosz w argumentacji swej nieco przesadził, twierdząc np., że dużo czasu było potrzeba, zanim ludzie zaczęli używać na pokarm ryb, raków, ostryg itp. podczas gdy dziś wiemy bardzo dobrze, że człowiek z wielkim apetytem zajadał te stworzenia jeszcze w czasach przedhistorycznych, o czem pouczają nas pozostałości budowli palowych jakoteż »odpadki kuchenne« czyli tzw. kjökkenmedingi na wybrzeżach morskich; mimo że przesadza nieco w zachwalaniu pożywności owych małży, a wzywanie jego do delegatów Tow. rybackiego, by i sami nie tylko słowami, ale i przykładem pouczali lud o pożytku tej potrawy nie wiemy, czy wielu znajdzie chętnych do posłuchu — powtarzamy głos jego, gdyż widzimy w nim pewną myśl zdrową. Że ludzie spożywają małże w czasie niedostatku, to jeszcze tak bardzo nie przemawia za ich pożytecznością; wszakżeż w takich wypadkach ludzie jedzą pokrzywę, gorczycę, korę brzozową itp. Daleko ważniejszą rzeczą wydaje nam się karmienie małżami bydła. W pow. Brzeżańskim, gdzie na wiosnę widzieć można setki kobiet poławiających małże w stawach brzeżańskim i urmańskim celem przyrządzania z nich pożywienia, opowiadają, że szczególnie krowy z wielkiem apetytem zjadają mięso tych małży, tuczą się niemi dobrze i dają dużo mleka. Próby z pokarmem tego rodzaju dałyby się urządzić i tam, gdzie używanie małży na pokarm przez ludzi napotka narazie na zakorzenioną odrazę. Czy konsumcja małży wpłynie na zapobieżenie degeneracji ludu, jak się tego spodz. dr. Wilkosz, o tem można powątpiewać.

NA DOŻYWOCIU.

SZKIC

Gabrjeli Preissowej.

(Dalszy ciąg.)

— Dzień dobry, kumotrze, witaj! — pozdrowiły go dwa na raz głosy.

— A więc są jednak ludzie, dla których coś jeszcze znaczę — pomyślał wyminkarz, głośno zaś dodał:

— Boże dopomóż, kumie, wstąpiłem do was przed świętami na gawędkę.

— To bardzo pięknie z waszej strony, »kmochaczku«, siadajcież, proszę — odpowiedziała drobna, czerstwa staruszka, ścierając szmatą nizką ławeczkę, podczas gdy jej mąż, podnosząc się ze stosu wykończonych już mioteł, otrząsał z ubrania drobne gałązki i wyciągał dłoń do gościa na powitanie.

— Ależ nie przerywaj roboty, Rejhanie — prosił wyminkarz, siadając naprzeciw gospodarza na ławce. — Wstąpiłem tu do was w tym właśnie celu, aby i samemu rękę do roboty przyłożyć. A nie miałbyś też w domu trochę wierzbowych prętów?

— Owszem, przynieśliśmy ich wiązkę wczoraj, ale nie bardzo nadają się do roboty, bo są sztywne.

— No, możeby też dały się nagiąć. A jakże będzie — ciągnął dalej z pewnem wahaniem — czy nie pożyczyłbyś mi tego trochę? Chciałbym bardzo wypleść tu u was dzisiaj kosz. Po świętach sam pójdę po wierzbinę i zwrócę wam dług.

— A dlaczegożby nie — odparł Rejhan uprzejmie. Przynieś, pani mamo, pręty z szopy.

Dożywotnik uśmiechnął się z zadowoleniem i sięgnąwszy po krzywy nóż, położył go obok

siebie. A gdy staruszka Rejhanowa ukazała się we drzwiach z pękiem wierzbiny, powitał ją rozjaśnionem, prawie wesołem spójrzeniem i wziął się gorliwie do roboty.

* * *

Koło godziny drugiej po południu zdążał dziaduś Kluczka w kierunku miasta Wyhonia, krocząc odważnie zaśnieżoną, dnem wąwozu wijącą się drogą. Śnieg przestał padać, niebo się wyjaśniło, ale wiatr dokuczał srodze, rozwiewając w prawo i w lewo kożuch starego, igrając, niby flagą, gęstymi kędziorami jego długich, białych włosów. Z dołu przez płócienne ubranie mróz dobierał się do starych kości i dziaduś musiał przystawać, szczelniej otulać się w kożuch i głębiej naciskać kapelusz na oczy.

Ale dziaduś Kluczka nie zżyma się na słotę: myśl jego zaprzątała o wiele przyjemniejsza troska. Przed chwilą opuścił był chatę Rejhana, ściskając dumnie w prawicy świeżo zrobiony, zielonawo brunatny kosz, tak głęboki i dogodny, że można zań było zażądać trzydzieści pięć krajcarów. Kosz ten da się sprzedać z łatwością w Wyhoniu, a wówczas wyminkarz, mając już pieniądze, odszuka znajomą przekupkę, która jeździ po jarmarkach i pielgrzymkach i tak jej powie: »Pani mamo, chciałbym mieć taki to, a taki pierścionek«. Po załatwieniu sprawunku pośpieszy do domu, a wieczorem skoro tylko Dorcia otworzy drzwi, dziadek zawoła na powitanie: »A widzisz, kurczątko, mam przecież coś dla ciebie na gwiazdkę«... Ona spojrzy — i tóż to dopiero będzie radość: »Oj, oj!«

— Łaski szynkarki nie potrzebuję — rozumował dalej Kluczka, zaciskając pogardliwie usta. Ci ludzie w teraźniejszych czasach nie mają serca w piersiach — oprócz tej jednej drogiej duszyczki — same psy...

W tej chwili mijał staruszka wóz chłopski, a młody parobczak z wysoką kitką u kapelusza, zawołał zwracając ku niemu głowę: »Hej, stryjku, a nie chcielibyście też, abym was podwiózł?«

Ale wyminkarz odpowiedział przeczącym ruchem głowy i pogardliwym niemal uśmiechem. Nie dał się wyrwać z zadumy, a zresztą nie potrzebował żadnych łask. Parobczakowi tymczasem przyszło na myśl, że ten dziaduś, którym wiatr miotał na wszystkie strony, musi być prawdopodobnie pjany — pozostawił go więc w spokoju.

O czwartej godzinie dotarł wyminkarz szczęśliwie do Wychonia i stanąwszy u rogatki, rozejrzał się dokoła, zapytując siebie, w którąby stronę miał się udać. Postanowił nareszcie skręcić w lewo; zabudowania wyglądały tam lichsze, budziły przeto więcej ufności. Ale że czuł już w sobie rozpęd kupiecki, więc zwrócił się do strażnika:

— Hej, panie tato, kupcie kosz! — zawołał podnosząc w górę towar, aby go lepiej pokazać.

Strażnik tkwił w bramie — pomimo mrozu — zapewne poto tylko, aby jaki wóz nie uszedł jego uwagi. Ubrany był w kosmatą czapkę astrachańską, nasuniętą głęboko na oczy, szal, okręcony koło szyji i rękawice. Wpierw jeszcze nim otworzył usta, aby odpowiedzieć, zauważył wyminkarz, że ma wielki czerwony nos, nie tyle zresztą wielki, co haczykowato zagięty. I zaiste — nie był to chrześcijanin; zapytał o cenę, poczem odrzucił:

— Szóstkę dam, jeżeli chcecie.

Kluczka zaklął w duchu i pośpieszył dalej do pierwszego domu na lewo. Zaledwie otworzył drzwi i przestąpił próg, z ciepłej izby wysunęła się dziewczynka cokolwiek od Dorotki słuszniejsza.

— Czy nie kupilibyście koszyka? — zapytał wprost wyminkarz.

Dziewczynka cofnęła się do izby, gdzie oznajmiła, że jakiś staruszek zapytuje, czy nie mógłby tu sprzedać swego kosza.

— Nie potrzebujemy — odpowiedział wewnątrz jakiś mrukliwy męski głos, a dziewczynka, ukazując się po raz drugi w sionce, powtórzyła krótko.

— Nie potrzebujemy.

Szedł więc Kluczka dalej do sąsiedniego domu. Tam wyszła na jego spotkanie sama gospodyni.

— Daj Panie Boże dobry dzień. Kupcie, pani mamo, koszyk.

— Zamykajcie drzwi, stryjku, zamykajcie, zimno najdzie — odparła niechętnie kobieta. — Kosza nie potrzebujemy: nie mamy ani krów, ani żadnej innej gadziny.

— Wszak i na kartofle mógłby służyć — przekonywał z kupiecką cierpliwością Kluczka — albo też co innego możnaby również dobrze do niego wsypać, naprawdę, zda się do wszystkiego.

— Nie kupimy — odparła stanowczo, a wskutek tej odpowiedzi dziaduś znalazł się po chwili o jeden numer dalej, w niziutkiej chałupce.

Przystanął w sionce, ale gdy nikt z izby nie wychodził, zdobył się na odwagę i sięgnął ku klamce jedynych drzwi.

— Daj Panie Boże dobry dzień! — pozdrowił staruszkę, która siedziała na zydlu pośrodku izby i huśtając nogą kolebkę, cerowała dziecinny kaftaniczek. Kluczka zrozumiał od razu, że tutaj kosza nie sprzeda: w takich zakątkach pieniądze się nie wodzą, jedynem ich bogactwem bywają graty i dzieci

— A co tam macie? — zapytała staruszka, podczas gdy trójka spłoszonych dzieci skupiła się u kolebki czwartego, spoglądając ze zdumieniem na nieznajomego człowieka.

(C. d. n.)

Uczłowieczenie języka.

W artykule p. t. »O ogólnych przyczynach zmian językowych«, ogłoszonym w t. III. »Prac filologicznych« w r. 1890 poruszył prof. Baudouin de Courtenay ważną kwestję stopniowego przesuwania czynności narządów głosowych z gardła ku końcowi języka. W wydanej obecnie w języku niemieckim broszurze p. t. »Vermenschlichung der Sprache« (Hamburg 1893) rozwija nasz znakomity rodak myśl tę obszerniej i stawia hipotezę pierwszorzędnej zarówno dla językoznawstwa, jak i dla ogólnej teorji ewolucji, doniosłości.

Wiadomo, że jednym z głównych objawów z wnętrznych, odróżniających człowieka od zwierzęcia, jest zdolność artykułowania głosów w jamie ustnej, podczas gdy zwierzę posługiwać się może tylko głosami nie artykułowanemi, skoncentrowanymi w krtani, jak: ryk, szczekanie, rżenie i t. p. Wiemy dalej, że dziecko zaczyna mówić z chwilą, gdy przestaje chodzić na czworakach i trzymać się zaczyna prosto, więc i narządy jego głosowe, w szyi zawarte, tchawica i krtań, przechodzą w położenie, ułatwiające artykułowanie. Wiemy również, że ptaki mogą naśladować mowę ludzką, czworonożne zaś nie. Badania zaś antropologów (jak Topinard, Hammy i inni) udowodniły, że człowiek jaskiniowy, przedhistoryczny, nie posiadał wystającego podbródka, w związku z tem i mięśnie, regulujące poruszenia przedniej części języka, były krótkie i nierozwinięte, a koniec jego języka słabo ruchomy.

Z drugiej strony lingwistyka porównawcza stwierdza po pierwsze, że pierwotne spółgłoski przydechowe, jak »th«, »kh«, »bh«, i t. d. z biegiem czasu zastąpione zostały we wszystkich językach indoeuropejskich przez spółgłoski nieprzydechowe, czyli że działalność strun głosowych w krtani w znacznej mierze zastąpiona została przez działalność organów mowy w jamie ustnej. Dalej dostarcza lingwistyka dowodów, że najgłębiej powstające tylnojęzykowe spółgłoski, jak »k«, »g« z czasem labializują się, t. j. przechodzą w spółgłoski, wymagające czynności mownych przedniej części języka i warg.

»Jeżeli teraz pomyślimy, powiada prof. Baudouin de Courtenay, że im dalej w szeregu wieków cofamy się wstecz, tem więcej ludzkość mówiąca pracuje przy wymawianiu gardłem i wogóle tylnymi i niższymi organami mownymi; jeżeli nareszcie pozwolimy sobie przyciągnąć do porównania zwierzęta, których wszystkie głosy rodzą się dzięki czynnościom samego tylko gardła, to koniecznie będziemy musieli przyjść do wniosku, że to stopniowe przesuwanie czynności mownych z dołu ku górze i od tyłu ku przodowi jest jedną z zewnętrznych cech ciągle postępującego człowieczenia mowy ludzkiej, jak znowu zewnętrzną cechą tego postępu jest coraz to bardziej rosnąca obstrakcyjność języka«.

Przegląd pism.

»Kijewskaja Starina«. Miesięcznik historyczny. — Marzec i kwiecień. — 1894. — Kijów.

—

P. Orłowski kreśli losy t. zw. »charytatywy« czyli podatku, który wskutek postanowienia delegatów unickich na zjeździe w Warszawie w r. 1776 musiało płacić duchowieństwo ukraińskie tak świeckie, jak i zakonne. Charytatywa czyli subsidium charitativum wynosiła 18.430 złp. 36 groszy.

Prof. Sumcow dał ciekawy artykuł folklorystyczny: »Pieśni i baśnie o żywym nieboszczyku«. Pieśni te i baśnie, w wielkiej ilości zgromadzone na terytorjum etnograficznem małoruskiem, nie były dotąd przedmiotem badań folklorystów, pomimo że bliższe zapoznanie się z tymi utworami ma wielkie znaczenie pod względem historyczno-literackim. Pieśni i baśnie o żywym nieboszczyku świadczą o ścisłej wzajemności pomiędzy małorusinami a światem zachodnim. Treść pieśni jest taka: młodzieniec, ażeby owładnąć ukochaną dziewczyną, udaje umarłego. Prof. Sumcow porównywa małoruskie, bułgarskie, węgierskie, niemieckie, angielskie i duńskie warjanty tego wątku i przychodzi do wniosku, że pieśń o żywym nieboszczyku była już znana w w. XVI. i że warjanty małoruskie powstały pod wpływem zachodnio-europejskim, przyczem warjant ukraiński znajduje się w najbliższym związku z bułgarskim, a węgierski z niemieckim. Małoruskie baśnie o żywym nieboszczyku powstały widocznie pod wpływem francuskich i niemieckich »Fabliaux« XIII—XIV. stulecia.

Koniec urywków z pamiętników A. A. Sołtakowskiego, głośnego »djejatiela« na polu szkolnictwa w Królestwie, przynosi kilka ciekawych danych do historji założenia gimnazjum żeńskiego w Suwałkach i całego szeregu reform rządu rosyjskiego po powstaniu 1863 r. Redakcja »Kijowskiej Staryny« zaznacza, że się wcale nie solidaryzuje z wszystkimi poglądami autora pamiętników i że dużo faktów, podanych przez Sołtanowskiego potrzeba by sprawdzić i poddać surowej krytyce. Co więcej redakcja uznaje, że p. Sołtanowski jest figurą o bardzo niskim poziomie moralnym i może wywołać swymi poglądami i wspomnieniami, noszącymi częstokroć charakter plotek osobistych, tylko wstręt. Po cóż więc było drukować elekubracje tak lichego indywiduum?

Prof. A. Storożenko podaje przekład traktatu ks. Józefa Wereszczyńskiego, biskupa kijowskiego, przeora sieniawskiego »Sposób zasiedlenia Nowego Kijowa i obrony dawnej stolicy ks. kijowskiego od wszelkiego niebezpieczeństwa... przedstawiony panom posłom przyszłego sejmu krakowskiego«.

Dalej znajdujemy dokończenie pracy ś. p. dra A. Rollego »Kobiety na dworze Czehryńskim w drugiej połowie XVII. w.« oraz sprawozdanie z dziełka B. Limanowskiego »Galicja przedstawiona słowem i ołówkiem« i z monografji prof. T. Wierzbowskiego »Bibliographia Polonica XV. ac XVI. ss.«

L. Wasilewski

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.